

„MALOWANIE TO ZABAWA”

(„SM Magazyn”, 26.05.1995 r.)

Ze Zdzisławem Beksińskim rozmawia Marek Rudnicki

ZDZISŁAW BEKSIŃSKI – artysta malarz i rysownik. Urodził się w 1929 roku w Sanoku. Skończył studia na Wydziale Architektury Politechniki Krakowskiej. Swoje prace pokazuje rzadko, nie bierze udziału w wystawach zbiorowych. To, co maluje, jest – jak piszą krytycy – jego duchowym autoportretem.

Ekspozycja w warszawskim Muzeum Archidiecezjalnym obejmuje 75 obrazów i 46 rysunków. Prace te można oglądać do końca czerwca. Później zostaną pokazane w Łodzi, Krakowie, Katowicach i Gdańsku.

- **Na wystawie pańskich prac zastałem sporo osób, mimo tego, że było dopiero wczesne popołudnie.**

- Nie byłem tam od chwili jej zainstalowania. Nie byłem nawet na wernisażu. Wie pan... Miało przyjść tyle osób duchownych.

- **Dlaczego zatem na miejsce retrospektywy z minionej właśnie dekady lat wybrał pan stołeczne Muzeum Archidiecezjalne?**

- Od dłuższego czasu było wiadomo, że w Warszawie odbędzie wie wystawa moich obrazów. Szukaliśmy odpowiednich pomieszczeń dla tej ekspozycji. Moje prace mają niewielkie rozmiary – narzucają to gabaryty małej pracowni. Moglibyśmy brać pod uwagę Zachętę, ale sale są tam olbrzymie. Obrazy o ograniczonych rozmiarach i niezbyt jaskrawych kolorach wyglądają w takich warunkach jak kolekcja znaczków pocztowych.

Szukaliśmy więc sal niezbyt wysokich, mających kameralny charakter. I tak – przez znajomych – znaleźliśmy to muzeum.

– **Bardzo dawno nie wystawiał pan w Polsce.**

– Już pewnie z dziesięć lat. Chociaż nie – chyba w 1987 roku miałem wystawę w galerii Alicji Wahl. Niewielką – liczyła siedemnaście czy osiemnaście obrazów.

– (...)latach **zdecydował się pan pokazać swoje prace, pochodzące zresztą tylko z jednej kolekcji – z paryskiej Galerie Dmochowski?**

– Nie ja decydowałem o czymkolwiek, lecz Piotr Dmochowski, który jest właścicielem pokazywanych prac i który w zasadzie przez całe lata zajmował się organizowaniem moich wystaw na Zachodzie. Od dawna nie było wystawy w Polsce, a on chciał pokazać u nas swoją kolekcję. Ekspozycja ta trafi zresztą do kilku miast.

– **Nie był pan zatem przez te minione lata „wielkim milczącym” z własnej woli?**

– Nie, choć w ogóle nie odczuwam potrzeby robienia wystaw. Gdyby mnie ktoś nie ciągnął, pewnie nie miałbym jeszcze na koncie ani jednej, choć mam już sześćdziesiąt sześć lat. Nie odczuwam potrzeby zaistnienia wobec publiczności, w mediach itd.

– **Kto, w takim razie, ma być odbiorcą pańskich prac?**

– Najprawdopodobniej należę do tego kręgu ludzi, którzy byliby wystarczająco zadowoleni wtedy, gdyby malowali do szuflady. Jeszcze raz powtarzam – sędzę, że zostałem na siłę wyciągnięty, i że za każdym razem jestem ciągnięty za uszy, by zorganizować wystawę. Jestem potwornie leniwy i mi się nie chce. Bawi mnie malowanie – robienie wystawy już nie. Kontakt z publicznością w zasadzie wręcz nie cierpię. Do tego stopnia, że nawet na owe „złote księgi” z wpisami – które organizatorzy ekspozycji

mi później wpychają, żebym poczytał to, co napisali zwiedzający – patrzę jak na zdechłego szczura i staram się unikać czytania czegokolwiek na swój temat. A już bezpośrednio spotkanie z publicznością jest dla mnie tak krępujące, że unikam wernisaży. Na otwarciu swoich wystaw byłem raz czy dwa razy w życiu. Jest to wspomnienie przykre.

– (...)bawią. Ale przecież publiczność po coś na nie przychodzi. Widać – są potrzebne. Może znając pańskie obrazy, obcując ze sztuką, ludzie są w jakimś stopniu szczęśliwsi.

– Nie wiem po co ludzie przychodzą na wystawy. Każdy pewnie z jakiegoś innego powodu. Ja obcuję ze sztuką wówczas, gdy słucham muzyki – to chyba jedyny rodzaj sztuki, który mnie skłania do bezinteresownego jej odbioru. Na wystawy plastyczne specjalnie nie chodzę, książek też w tej chwili prawie nie czytam.

– Całymi dniami pan maluje?

– Maluję, słucham muzyki i tak spędzam wesoło czas jako nierób.

– Czy to prawda, jak chcą krytycy, że maluje pan sny?

– Nie. Naprawdę. Powiedziałem tak kiedyś, żeby się ktoś ode mnie odczepił. Może jedno, co łączy mnie z surrealizmem to właśnie to, że moje pomysły, które przenoszę na płótno, biorą się wprost ze strumienia świadomości, podobnie jak to się dzieje we śnie.

Ludzie patrzą na obrazy pod najłatwiejszym – przynajmniej w Polsce – kątem: martyrologiczno-wojennym. Ci, którzy oprowadzali zwiedzających w sanockim muzeum tłumaczyli, że – proszę – to są Bieszczady, a tamto to znowu coś z okresu wojny. Powiedziałem im w końcu, że nie – że to jest po prostu oniryczne. Zaczęli więc opowiadać, że Beksiński wieczorem zasypia, rano notuje, później zaś maluje.

– (...)kie mroczne? Skąd w nich tyle grozy?

– Ja w nich tej grozy nie dostrzegam. Inni ja widzą. Poza tym – teraz maluję inne obrazy niż dawniej. To już nie są metafizyczne pejzaże, jak bym mógł je nazwać. To są postaci ludzkie, twarze i nic więcej. W dużo większym stopniu chodzi o stronę formalną, niż o jakiś specyficzny nastrój, czy też jakąś – ja wiem? – anegdotę, której istnienie dawniej mi zarzucano. Przecież te anegdoty kiedyś także właściwie były nieobecne, wynikały z przypadku, z faktu, że coś jest namalowane, że istnieje na obrazie przestrzeń, w której coś się dzieje.

– **No właśnie – muszę powiedzieć, że kiedy oglądałem niektóre z pańskich obrazów czułem się tak, jak gdybym wyglądał przez okna dziewiętnastowiecznego dworu w czas powstania. Te śmierci, te mgły, miraże... Brakowało tylko patriotycznej,(...)**

– Naprawdę – nie należę do grona ani dziewiętnastowiecznych patriotów, ani ludzi znających historię. Z pewnością nie jest to więc nawiązywanie do jakichkolwiek powstań czy czegoś podobnego. Być może taki odbiór bierze się stąd, że przez długi okres moje obrazy były czymś w rodzaju persyflażu dziewiętnastowiecznego malarstwa?

– W katalogu do wystawy Wojciech Skrodzki napisał, że od dziesięciu lat pana zainteresowanie ogranicza się do studium głowy. Dlaczego akurat głowy?

– Nie wiem dlaczego. Salvador Dali twierdził, że najciekawszym elementem człowieka jest ucho. Zresztą rzeczywiście malowanie ucha to dla artysty fajna zabawa. Bo przecież chodzi o przyjemność tworzenia, o to, by coś się działo. Na niebie bez chmur nic się nie dzieje. Malowanie tego nie daje radości. Ale są formy, które można kształtować, barwić itd. Malowanie to po prostu zabawa.

– O czym pisałby pan, gdyby był pisarzem?

– Swego czasu nawet pisałem, tylko do szuflady, wobec czego to się nie ukazywało. Ci, którzy mieli możliwość się z nimi zetknąć twierdzili, że jestem specjalistą od pisania o niczym. Oto najkrótsza recenzja. To były opowiadania, które rzeczywiście nie miały akcji. Jeśli można tak powiedzieć: działały się w wyobraźni. Byłem wtedy pod wpływem francuskiej „nowej fali”, zabaw z czasem. Z drugiej strony zawsze silne wrażenie robił na mnie Kafka. To, co pisałem, stanowiło – o ile można to sobie wyobrazić – mieszankę tego wszystkiego z pewną domieszką Borgesa. Wielu z owych historii nie skończyłem. Mnożyłem te opowiadania z wielkim zapałem – był wówczas sześćdziesiąty czwarty lub sześćdziesiąty szósty rok. Zdaje się, że zniechęcił mnie do pisania pewien kolega, który zasnął, gdy mu je czytałem.